

NOWA KONFEDERACJA nr 32—33 (44—45)/2014

INTERNETOWY TYGODNIK IDEI

7—20 sierpnia

cena: 0 zł



**„NOWA KONFEDERACJA”
TERAZ W RĘKACH
CZYTELNIKÓW**

W numerze:

„Nowa Konfederacja” teraz w rękach Czytelników

Bartłomiej Radziejewski..... 3

Wielka wojna o talenty

Michał Kuź..... 6

BRICS chce zmienić świat. Czy zdoła?

Radosław Pyffel 11

Supermocarstwo wciąż nie ma z kim przegrać

Z Guyem Sormanem rozmawia Aleksandra Rybińska 15

Zachód nie chce uzdrowić rosyjskiego narkomana

Witold Jurasz 20

Australia zdecyduje o losach globu?

Z Jackiem Bartosiakiem rozmawia Krzysztof Wołodźko 25

Sens i bezsens '44

Stefan Sękowski 29

Prawie dwa miliony Polaków za kolonizacją

Krzysztof Wołodźko 32

„Nowa Konfederacja” teraz w rękach Czytelników



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Fakt, że „NK” zdobyła uznanie tak wielu Darczyńców i Czytelników, determinuje nas do kontynuacji działalności. Napotykamy jednak zasadnicze problemy z finansami.

Drodzy Czytelnicy,
„Nowa Konfederacja” znalazła się w bardzo trudnej sytuacji finansowej po tym, jak jej główny Darczyńca stracił od kwietnia br. możliwość jej wspierania. Od tego czasu – dzięki wzrostowi hojności Dotychczasowych Stałych Darczyńców oraz pojawieniu się Sześćdziesięciu Pięciu Nowych (w tym Dziewiętnastu Stałych) – stałe przychody „NK” wzrosły o 65 proc. Szczegóły znajdują Państwo w zakładce „NK” w potrzebie! na naszej stronie internetowej.

To imponujące liczby. Niemniej kwietniowy ubytek był tak duży, że nawet to nie wystarczy do utrzymania „NK” w dotychczasowej postaci. Gdy piszę te słowa, brakuje jeszcze ponad 4 tys. zł miesięcznie, a dodatkowy czas, kupiony dzięki hojności Jednorazowych Darczyńców, kończy się wraz z sierpniem.

Dlatego apelujemy do Państwa o wsparcie. W tej chwili tylko ok. 1 proc. naszych Czytelników jest jednocześnie Stałymi Darczyńcami. Tymczasem gdyby każdy z tego grona wsparł „NK” kwotą

tylko 3 zł miesięcznie – tygodnik byłby uratowany. 5 zł miesięcznie – i mógłby rozkwitnąć. To pokazuje skalę możliwości. Ale też – ilość wysiłku przed nami.

Dobry początek

W ciągu dziesięciu miesięcy istnienia „NK” zdobyła uznanie Czytelników. Świadczą o tym statystyki (średnio 4,5 tys. Czytelników tygodniowo) i liczne głosy od Państwa. „Bodaj najciekawsze intelektualnie środowisko w Polsce”, „robicie świetną robotę”, „oferują Państwo rzadko niestety spotykane spokojne i nietuzinkowe myślenie” – to tylko kilka przykładów z brzegu. Co szczególnie cenne, te i podobne głosy płyną najczęściej od przedstawicieli inteligencji.

Począwszy od października ubiegłego roku, „NK” zyskuje też coraz większy wpływ na debatę publiczną. W ciągu dziesięciu pierwszych miesięcy doczekaliśmy się ponad 250 cytowań i przedruków, blisko 60 razy gościliśmy w telewizji i radiu. Traktujemy te liczby jako dobry – jak na

bardzo skromny budżet i brak środków na promocję i reklamę – początek.

O co nam chodzi?

„NK” z zasady podejmuje tematy niezauważane lub ignorowane przez medialny główny nurt. Nasz najbardziej podstawowy zarzut wobec dominujących elit opinio-twórczych to – obok politycznej stronniczości – traktowanie spraw pierwszorzędnych jako trzeciorzędnych, i odwrotnie.

Dlatego głównym kryterium doboru jest dla nas nie to, co w danym momencie „chodzi” w telewizjach, ale – co strategicznie ważne dla Polski. W tych ramach wskrzeszamy również tradycję robienia tematów numeru wokół ważnych książek, problemów ustrojowych, spraw międzynarodowych.

Cieszy przy tym to, że udaje nam się niekiedy zarażać tymi tematami media „masowego rażenia”. Świadczy o tym kariera takich wątków jak neokolonizacja, polska bomba atomowa czy nowa kultura miejska. W pejzażu intelektualnej pustyni, jaką stał się główny nurt polskiej debaty, traktujemy to jako spory sukces. Nawet jeśli koledzy z mainstreamu nie są łaskawi dochować dobrego obyczaju zaznaczenia, kto pierwszy dany temat poruszył.

Fakt, że tak sformatowane medium zdobyło uznanie tak wielu Darczyńców i Czytelników, determinuje nas do kontynuacji działalności. Tu wracamy jednak do problemów z finansami.

Dlaczego darowizny

Nie chcemy odchodzić od modelu finansowania poprzez darowizny nie z wygody, ale z powodów, które legły u podstaw powstania „Nowej Konfederacji”. W ostatnich latach media na całym świecie gwałtownie

podupadają, nie mogąc skomercjalizować ambitnych materiałów w warunkach rewolucji internetowej. Kolejne zwolnienia i redukcje kosztów już katastrofalnie wpłynęły na jakość dziennikarstwa i publicystyki. A końca tej tendencji nie widać. Internet zabija papier, ale jednocześnie daje tak niskie stopy zwrotu, że nie jest dla niego jakościową alternatywą.

Polacy zasługują na coś więcej niż wybór między przemysłem dezinformacji a przemysłem partyjnej propagandy

To oznacza gigantyczną premię dla stawiających na tanią sensację tabloidów oraz dla mediów satelickich wobec dużych i zamożnych instytucji, najczęściej partii politycznych. Inaczej mówiąc: w obecnych warunkach takie właśnie środki przekazu mają największe szanse przetrwać.

Jesteśmy więc na prostej drodze do całkowitego upadku niezależnych mediów i niezależnej analizy. Do sytuacji, w której redakcje różnej maści nie będą niczym więcej niż przedłużeniem partyjnych sztabów propagandowych. Lub bazującymi na pobudzaniu najprymitywniejszych emocji fabrykami dezinformacji.

Można przy tym postawić dolary przeciw orzechom, że politycy nie kiwną palcem, by temu zapobiec. Z ich punktu widzenia w pełni sterowalne media to dodatkowy atut w walce o władzę.

Dlatego trzeba szukać alternatyw. Innych sposobów finansowania i działania. Próba budowy takiej alternatywy była od początku „Nowa Konfederacja”. Założenie

było proste: skoro tradycyjne modele działania coraz bardziej zawodzą, to spróbujmy oprzeć się na mecenacie obywatelskim. Dać Czytelnikom poważną i niezależną publicystykę, oczekując w zamian comiesięcznego wsparcia.

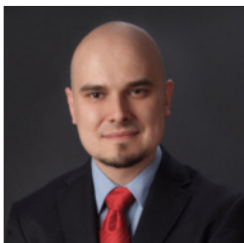
W Stanach Zjednoczonych istnieje już ponad sto fundacji finansujących media w ten właśnie sposób. W Polsce wydająca „NK” Fundacja Nowa Rzeczpospolita jest bodaj pierwszą instytucją opartą niemal wyłącznie na darowiznach.

W Waszych rękach

Ten eksperyment powinien się powieść. Polacy zasługują na coś więcej niż wybór między przemysłem dezinformacji a przemysłem partyjnej propagandy.

Los tego eksperymentu jest dziś w Waszych rękach, drodzy Czytelnicy. Prosimy Was o hojność na miarę indywidualnych możliwości. Każda kwota przekazywana regularnie, co miesiąc, ma znaczenie – współtworzy „NK”.

Wielka wojna o talenty



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Wkraczamy w okres globalnej walki o zdolnych obywateli, których najpotężniejsze państwa będą sobie dosłownie wydzierać. Do tej walki Polska niestety nie jest jeszcze przygotowana.

Najważniejszym bogactwem każdego kraju nie są surowce naturalne i rezerwy walutowe, tylko jego obywatele i ich umiejętności. O tej banalnej prawdzie w przeszłości często zapominano, bo przyzwyczailiśmy się przez ostatnie dwa stulecia, że nawet wliczając okresy wojen, zaraz i nieurodzajów, „ludzki kapitał” niemal samoistnie przyrasta. Te czasy się jednak kończą. Wkraczamy w okres globalnej walki o utalentowanych obywateli, których najpotężniejsze państwa będą sobie dosłownie wydzierać. Do tej walki Polska niestety nie jest jeszcze przygotowana. Również jeśli chodzi o drenowanie naszego „kapitału ludzkiego” i umiejętności przyciągania tego „kapitału” z zewnątrz, okazujemy się więc krajem peryferyjnym, który jest wyzyskiwany przez silniejszych graczy.

Moment rozrachunku

Uśmiechnięta Natalia Klimas w reklamówce Polskiej Agencji Informacji i Inwestycji Zagranicznych zachęca do in-

westowania w Polsce. Polsce, czyli kraju gdzie „wydajność pracy rośnie szybciej niż wynagrodzenia”, a „w efekcie koszty pracy” należą do „najniższych w Europie”. To jednak tylko ekonomiczne wudu i pieśń przeszłości. Prędzej czy później zarówno dla Polski, jak i dla innych rozwijających się gospodarek, chociażby szeroko omawianych przez Radosława Pyffla BRICSów, przyjdzie bowiem moment rozrachunku. W owym momencie jak w biblijnej przypowieści narody będą musiały zdać sprawę z tego, co zrobiły ze swoimi talentami i czy udało im się je pomnożyć.

To prawda, że w okresie przemian rynkowych, urbanizacji i konsumowania demograficznej „górkę” (tzw. demograficznej dywidendy) pozostawionej po tradycyjnym modelu rodziny gospodarki potrafią gwałtownie rosnać (dziś jest tak głównie w Indiach i Chinach). Technologie są wtedy zwykle importowane z zewnątrz, a koszty pracy pozostają na niskim poziomie, zupełnie jak w reklamie PAiIZ. Ekonomiści są jednak zgodni, że jeśli wschodzące gospodarki cały swój rozwój

będą uparcie opierać na cudzych technologiach lub cudzym kapitale i swojej taniej sile roboczej, to po kilku tłustych dekadach czeka je „płacz i zgrzytanie zębów”. Bez mocnych podstaw rodzimego rozwoju, bez własnych ośrodków badawczych oraz dobrze zorganizowanego systemu wyższej edukacji nie wygrają coraz ostrzejszej globalnej konkurencji o naukowca, studenta i wykwalifikowanego pracownika. Mało tego, wraz z nieuchronnym przy modernizacji spadkiem dzietności i procesami migracyjnymi odebrane zostaną im nawet te rodzime talenty, które dotąd same u siebie hodowały. Ponownie tak jak w przypowieści: tym, którzy już mają, będzie wtedy jeszcze więcej dodane, a tym, którzy nie mają, będzie jeszcze zabrane. Światowe centra ponownie spiją samą śmietankę z zubożonych w ten sposób neokolonii.

Cena człowieka

Według najnowszych badań zleconych przez ONZ już zaczyna się zarysowywać perspektywa, w której spadek demograficzny może stać się globalnym trendem, a nie tylko specjalnością bogatego Zachodu. Według jednego ze scenariuszy ogólna liczba ludzi na ziemi mogłaby zacząć spadać ok. 2050 r. Już teraz widać jednak wyraźnie, że dzietność w danym społeczeństwie jest odwrotnie proporcjonalna do jego poziomu wykształcenia. Gospodarczo ma to jak najzupełniej sens. Rodzice w krajach rozwiniętych wiele środków muszą przeznaczyć na wykształcenie swoich pociech. Co więcej, sami pracując i zdobywając nowe kwalifikacje, nie mają wiele czasu na życie rodzinne lub odkładają decyzję o prokreacji tak długo, jak to tylko możliwe. To sprawia, że ludzie, którzy otrzymali pieczołowite wykształ-

cenie i wychowanie, będą się stawać na globalnym rynku pracy coraz drożsi.

W Polsce zanosi się na doskonałą wręcz katastrofę gospodarczo-demograficzną. Starzenie się społeczeństwa, rozkład państwa, migracja młodych i drenaż mózgów idą bowiem ręka w rękę z zapaścią edukacji wyższej i wątłutkim rozwojem sektora R&D

W sensie etycznym każdy człowiek jest oczywiście jednostką unikatową i bezcenną. W sensie polityczno-ekonomicznym można jednak cenę istoty ludzkiej dość precyzyjnie określić. A potem wliczając koszty/ryzyko społeczne związane z asymilacją podjąć decyzję o tym, czy danego delikwenta wpuścić do swojego kraju, czy też nie. Wielodzietni muzułmańscy rolnicy z Afryki Północnej dla możliwych tego świata nie przedstawiają sobą dziś wielkiej wartości. A spowodowane przez masową imigrację napięcia społeczne sprawiają, że Zachód stwierdza, iż taka imigracja nijak mu się nie opłaca i należy się przed nią bronić, i to nawet za cenę klęsk humanitarnych. Wykształcony specjalista lub też dobrze rokujący student jest natomiast dobrem poszukiwanym, a miejscami wręcz deficytowym. Co więcej, takie wyłuskane, wyselekcjonowane i wyrwane z dawnego otoczenia jednostki znacznie

łatwiej jest zasymilować, zrobić z nich szybko i tanio przykładowych Amerykanów, Niemców i Anglików.

Nic więc dziwnego, że wszystkie rozwinięte gospodarki przygotowują się do coraz ostrzejszej walki o wykwalifikowanego pracownika i naukowca, czegoś, co zachodnie media już określają jako „wojnę o talent”. Niemcy potrzebują np. do końca dekady około miliona inżynierów, informatyków, matematyków i naukowców. Nie będą też miały żadnych skrępowań, by tych ludzi wycisnąć z biedniejszego od nich Wschodu i Południa Europy, ich ulubionych neokolonii. Postąpią tak tym chętniej, że różnice kulturowe pomiędzy Bawarczykiem a Hiszpanem czy Polakiem daje się przeskoczyć łatwiej niż pomiędzy Niemcem a Arabem. Równocześnie jednak nasi zachodni sąsiedzi będą się nadal bronić przez diametralnie odmiennymi kulturowo i nisko wykwalifikowanymi emigrantami z Bliskiego Wschodu i Afryki.

Tradycyjnie przyciągające wielu imigrantów USA są w bardziej komfortowej sytuacji, ale i one będą potrzebowały ok. 100 tys. nowych specjalistów w tzw. dziedzinach STEM (nauka, technika, inżynieria, matematyka). Warto tu też dodać, że choć amerykański system wizowy dla większości przybyszów jest koszmarne ciasnym biurokratycznym sitem, to rząd federalny już teraz robi dużo, aby ludzi pracujących w interesujących go dziedzinach przyciągnąć. Funduje stypendia, programy badawcze, staże, znosi niektóre regulacje (np. dla lekarzy). Prezydent Obama zapowiada zaś zmiany prawne, które mają pójść jeszcze dalej. Chciałby np., aby studiujący w USA kierunki ściśle obcokrajowcy dostawali wizy pracownicze od ręki, a wyznaczane przez rząd kwoty zatrudnienia dla wykształconych poza USA specjalistów zostały radykalnie zwiększone.

Podobne podejście polegające na zatrzymywaniu fali niewykwalifikowanych emigrantów i drenowaniu z globalnych peryferii cennych mózgów jest zresztą widoczne niemal wszędzie. Poza wspomnianymi Stanami i Republiką Federalną Niemiec przodują w tym Kanada i Australia. Podobne zmiany wdrażają jednak również tradycyjnie ksenofobiczni Azjaci. Chiny coraz aktywniej poszukują naukowców, swoją politykę imigracyjną powoli zreformuje też Singapur. Nawet dość zamknięta Japonia, w miarę jak jej społeczeństwo się starzeje, szuka specjalistów, zwłaszcza lekarzy i pielęgniarek, którzy po opanowaniu trudnego języka i zdaniu morderczego egzaminu byliby gotowi na stałe żyć i pracować w Kraju Kwitnącej Wiśni. Oczywiście taka selektywna imigracja idzie w parze z działaniami mającymi na celu zatrzymanie własnych absolwentów i zaoferowanie im jak najlepszych warunków. Dla największych i najbardziej rozwiniętych gospodarek to jednak już dziś za mało, by utrzymać swoją konkurencyjność.

Jeszcze Zachód nie zginął

Szeroko opisywane w prasie zachodniej BRICS w skali makro czyniły dotychczas to, co na mniejszą skalę robiła Polska: opierały swój rozwój na technologiach już znanych na Zachodzie i taniej sile roboczej. Oczywiście dalekowzroczni Chińczycy i Hindusi dość szybko zaczęli sobie zdawać sprawę, że tak nie może być wieczne, że potrzebny jest im skok w zakresie gospodarczej innowacyjności. I zaczęły inwestować w edukację. Nadal jednak atrakcyjność imigracyjna BRICS i ich marka na globalnym rynku pracy dla wykwalifikowanych ustępuje potężnej sile przyciągania świata zachodniego, który bezpar-

donowo drenuje rozwijające się gospodarki z najlepszych talentów.

Chińscy i hinduscy emigranci w 2004 r. byli np. odpowiedzialni za aż 15 proc. nowych patentów zgłoszonych w USA. To ponaddziesięciokrotny wzrost w porównaniu z rokiem 1975. Jeśli zaś sprawdzą się wspomniane prognozy demograficzne ONZ, walka o talenty będzie się jeszcze zaostrzać. Widać to chociażby na rynku uczelnianym.

Najłatwiej bowiem przyciągnąć zdolnego imigranta jako swoisty „półprodukt”, obiecującego absolwenta szkoły średniej, który po żmudnych kursach przygotowawczych osiągnął świetne wyniki w ustandaryzowanych egzaminach wstępnych typu SAT lub GRE. Po studiach dzięki wyrobionym kontaktom i przejściu wstępnej inkulturacji w dość otwartym i przyjaznym środowisku taki przybysz jest zwykle bardzo chętny, aby na stałe związać się z gospodarką nowego kraju. W tej dziedzinie siła przyciągania Zachodu jest doprawdy potężna. Na 20 najlepszych uczelni w globalnych rankingach 17 znajduje się w USA, dwie w Anglii, a jedna w Szwajcarii.

Tymczasem według Instytutu Gallupa w 2010 r. ze swojego obecnego miejsca zamieszkania chciało wyemigrować na całym świecie 700 mln osób. Z tego do USA 165, a do EU 210. Zachodnie uczelnie mają więc z czego wybierać. I tak też robią, 18 proc. wszystkich studentów w USA pochodzi z zagranicy, w Wielkiej Brytanii to 9,9 proc., 7 proc. w Australii i Niemczech, 5,2 proc. w Kanadzie. Jest to wyraźnie kolejny przykład, w którym kapitał, w tym przypadku ludzki, jest wysysany przez globalne centra z neokolonialnych peryferii. Wśród centrów prym wiodą zaś kraje anglosaskie, z którymi dość nieśmiało konkuruje Europa Zachodnia; potem długo, długo nie ma nic.

Polska się odmóżdża

W Polsce tymczasem jak na razie zanosi się na doskonałą wręcz katastrofę gospodarczo-demograficzną. Starzenie się społeczeństwa, rozkład państwa, migracja młodych i drenaż mózgow idą bowiem ręką w rękę z zapaścią edukacji wyższej i wątłutkim rozwojem sektora R&D (badania i innowacje). O dwu milionach młodych wykształconych emigrantów, których utraciliśmy, pisał niedawno na łamach „NK” Janusz Kobeszko. Zauważył on wtedy, że aż „połowa polskiej emigracji to ludzie wysoko kwalifikowani, którzy do kraju już nie powrócą”.

O tym, że w odróżnieniu od Niemców i Rosjan nie robimy prawie nic, aby ściągnąć do nas etnicznych Polaków mieszkających poza granicami kraju, mówił zaś w rozmowie „NK” dr Krzysztof Wyszyński. Dodajmy do tego jeszcze obserwację, że nasz nepotyczny, niedofinansowany i niemerytokratyczny system edukacji wyższej nie jest zupełnie w stanie przyciągnąć obcokrajowców. Nawet tych z bardzo słabo rozwiniętych krajów.

Polskie uczelnie mają bowiem najniższy wskaźnik umiędzynarodowienia spośród wszystkich krajów OECD, wynosił on w 2011 ok. 0,5 proc. Co więcej, podczas gdy ów wskaźnik wzrósł we wszystkich krajach rozwiniętych, w Polsce właściwie nie zmienił się od roku 1998. Duże państwowe uczelnie od lat mówią o tym, że idzie demograficzny niż, wołają jednak często zamykać wydziały, niż się reformować. Wśród instytucji o wysokim poziomie umiędzynarodowienia prym wiodą więc mniejsze, bardziej elastyczne, prywatne ośrodki, takie jak: Akademia Vistula, Akademia Koźmińskiego, Uczelnia Łazarskiego i Collegium Civitas; UAM, UW i UJ zajmują zaś dopiero dalsze miejsca. Po-

mimo sukcesów trudno jednak szkoły prawniczo-ekonomiczne takie jak Vistula, Koźminski i Łazarski nazwać znaczącymi ośrodkami badań z zakresu nauk ścisłych i nowych technologii.

Naprawdę duże ośrodki badawcze specjalizujące się w rozwoju techniki, miejsca takie jak Politechnika Warszawska czy Wojskowa Akademia Techniczna, wypadają zaś w podobnych zestawieniach raczej słabo. Pomimo gorszych niż oczekiwane wyników ostatnich matur pozostaje natomiast faktem, że Polska w skali globalnej produkuje dość dużo bystrych licealistów, coraz częściej wyjeżdżają oni jednak na studia za granicę, często by nigdy nie wrócić. Nasz kraj wykrwawia się więc coraz bardziej ze swojego kapitału talentów. Nic dziwnego, że liczba patentów na milion osób (10) jest w Polsce aż dziesięciokrotnie niższa niż średnia unijna. Po względem innowacyjności gorzej od nas wypada tylko Łotwa, Rumunia i Bułgaria.

Coraz mniej czasu

A przecież teoretycznie moglibyśmy bardziej wykorzystać nasze geopolityczne położenie. Jesteśmy przecież atrakcyjni zwłaszcza dla naukowców, studentów i profesjonalistów ze Wschodu. To właśnie Ukraińcy, Białorusini i Rosjanie w dużej mierze odpowiadają już teraz za umiędzynarodowienie tych nielicznych uczelni, gdzie ono w ogóle w Polsce występuje. Moglibyśmy też skuteczniej hamować odpływ własnych kadr i tworzyć im lepsze warunki pracy i rozwoju w Polsce.

Zamiast tego wolimy trwać w stanie przewlekłej choroby. Unia usypia i konserwuje nasze niewydolne państwo dotacyjną kroplówką, a my w zamian pozwalamy wypompowywać z kraju to, co najcenniejsze w jego społecznym krwiobiegu – młodych, zdolnych i pracowitych. Być może nie jest jeszcze za późno, aby wstać z łóżka o własnych siłach. Czasu, by z edukacyjno-pracowniczej neokolonii stać się przynajmniej regionalnym centrum, jest jednak coraz mniej.

BRICS chce zmienić świat. Czy zdoła?



RADOSŁAW PYFFEL

Prezes Centrum Studiów Polska–Azja

Dotychczas przywódcy BRICS jedynie mówili o tym, że system światowy faworyzuje Zachód, teraz jednak zaczęli działać. To pierwszy krok ku zmianie globalnego status quo.

Na początku lipca, zaraz po zakończeniu piłkarskiego mundialu, w brazylijskiej Fortalezie odbył się szósty szczyt BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i Republika Południowej Afryki).

Wydarzenie to zostało w Polsce odnotowane, jednak nie spotkało się z wielkim zainteresowaniem. Niesłusznie, ma ono bowiem doniosłe znaczenie – oto dotychczasowy klub dyskusyjny wschodzących potęg przeistacza się na naszych oczach w coraz bardziej sformalizowaną grupę państw kwestionujących obecny ład globalny i rzucających wyzwanie pierwszemu do tego momentu hegemonowi – Zachodowi.

Od słów do czynów

Jak określił to w wywiadzie dla Russia Today Władimir Putin:

„Po pierwsze, łączy nas intencja reformy międzynarodowego systemu finansowego i monetarnego. W obecnej formie jest on niesprawiedliwy dla krajów BRICS i innych nowych wschodzących gospoda-

rek. Powinniśmy odgrywać istotniejszą rolę w procesie decyzyjnym IMF i Banku Światowym. Międzynarodowy system monetarny i finansowy zależy od amerykańskiego dolara lub inaczej mówiąc, od polityki monetarnej i finansowej władz amerykańskich. Kraje BRICS chcą to zmienić”.

Obrady zakończyły się powołaniem banku, utworzeniem własnego funduszu walutowego i sygnałami zachęcającymi inne kraje do podjęcia współpracy z krajami BRICS.

Ostatecznie pierwszym prezesem The New Development Bank, którego siedzibą został ogłoszony Szanghaj, zostanie Hindus, pierwszym szefem Rady Dyrektorów (Chairman of the Board of Directors) będzie Brazylijczyk, a pierwszym szefem Rady Zarządzającej (Chairman of the Board of Governors) będzie Rosjanin.

Kapitał banku to 100 mld dol. Tyle samo wynosi kapitał rezerwy funduszu walutowego. Chiny wyłożyły 41 mld, Indie, Rosja i Brazylia 18 mld, RPA 5 mld. Fundusz będzie także udzielał pomocy krajom członkowskim i tym, którzy „cierpią z po-

wodu ekspansjonistycznej polityki walutowej Stanów Zjednoczonych” (czytaj: wspierał inicjatywy, które nie podobały się Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu).

Dotychczas przywódcy BRICS jedynie mówili o tym, że system światowy faworyzuje Zachód, teraz jednak zaczęli działać. To pierwszy krok ku zmianie globalnego status quo.

O co chodzi krajom BRICS

Członków BRICS łączy przede wszystkim krytyczny stosunek do Zachodu, wynikający zarówno z doświadczeń kolonialnych, jak i sceptycznej oceny ukształtowanego w XX w. systemu globalnego.

Nie podoba im się m.in. hegemoniczna pozycja dolara, rola MFW czy fakt istnienia „niepisanej zasady”, iż szefem tej instytucji zostaje zazwyczaj (zachodni) Europejczyk.

Jak pokazał jednak przebieg obrad w Fortalezie, łatwiej jest stawiać krytyczne diagnozy czy kontestować globalny ład, a znacznie trudniej podjąć wspólne działania.

Największym problemem okazała się nieufność w stosunku do Chin. Obawiają się ich już nie tylko USA i wszyscy sąsiedzi, ale jak się okazało, również partnerzy z BRICS. W czasie obrad szczególnie dawali temu wyraz Hindusi. To oni walczyli do końca o to, by siedzibą banku było New Delhi, ostatecznie wywalczyli to, że pierwszym prezesem będzie Hindus, i wprowadzili poprawkę, według której żaden z krajów (czyli Chiny) nie będzie mógł zwiększyć swojego udziału w banku bez zgody wszystkich pozostałych czterech krajów.

Drugi problem to dylemat chińskiej polityki międzynarodowej. Chcą one nadal

pozostawać w cieniu (*taoguang yanhui*), ukrywając swój potencjał, by niepotrzebnie nie drażnić i nie prowokować Zachodu i USA. Idealnie wpisuje się to w politykę Rosji, dokładnie odwrotną (a więc ostentacyjnego pokazywania własnych możliwości, a czasem nawet więcej, niż jest to możliwe). Także w BRICS Chińczycy nie chcą – przynajmniej oficjalnie – grać pierwszych skrzypiec i wołać schować się za Putinem.

Nie mamy w Polsce planu B i w ogóle nie rozpatrujemy wariantu upadku Zachodu czy sukcesu BRICS

Tyle tylko, że gdy negocjacje w ramach BRICS dochodzą do martwego punktu, Chiny jako kraj, którego gospodarka jest większa niż gospodarki pozostałych czterech członków tego forum razem wzięte, zmuszone są przejąć inicjatywę. A gdy to robią, od razu napotykają opór pozostałych, obawiających się, iż BRICS zostanie zdominowane przez Państwo Środka.

Na dziewiątym szczycie negocjacje zakończyły się sukcesem, ale do detronizacji G7 i przejścia władzy nad światem w XXI w. jeszcze daleka droga. Fortaleza to dopiero początek.

Między mrzonką a zmianą świata

Od czego zależy sukces lub porażka tego przedsięwzięcia? Po pierwsze, od tego, czy kraje BRICS utrzymają wysoką ścieżkę wzrostu. Dotyczy to nie tylko Brazylii i Rosji, które mogą okazać się jedynie gwiazdami jednego sezonu (czytaj: dobrej

koniunktury na rynku surowców i energii), lecz także powracających państw cywilizacji Indii i Chin i sukcesu ich modernizacji.

Po drugie, już dziś różnice potencjałów krajów BRICS są dość duże. Czy jeśli Chiny i Indie utrzymają wysoki wzrost, a Brazylia i Rosja nie, to BRICS przetrwa w obecnej formule?

Po trzecie, aby BRICS przetrwało i odniosło sukces, musiałyby uniknąć tarć między jego sygnatariuszami. Głównie dotyczy to Chin i ich sąsiadów: Indii i Rosji. Indie mają wciąż zatargi graniczne z Chinami, także Rosja obawia się ich potęgi i choćby wzrostu znaczenia w Azji Centralnej (czy będzie w stanie to zaakceptować?).

Po czwarte, sukces BRICS zależy od tego, czy będzie w stanie przyciągać i inspirować pozostałe kraje. Już dziś zainteresowanie BRICS wyraża Argentyna i dziewięć innych krajów Ameryki Łacińskiej (w tym Urugwaj, Chile i Kolumbia) obecnych na szczycie w roli gości.

W czasie wizyty w Ameryce Łacińskiej prezydent Chin Xi Jinping po raz pierwszy wspominał o modelu chińskim jako inspiracji dla innych krajów. Dalszy rozwój zarówno samej inicjatywy, jak i dalsze sukcesy gospodarcze państw członkowskich mogą inspirować coraz więcej krajów i przyciągać je w orbitę BRICS.

Po piąte, sukces BRICS zależy od reakcji samego Zachodu. Czy zareaguje ostro i zdecydowanie? Czy będzie chciał i będzie w stanie zdusić w zarodku tę konkurencyjną inicjatywę, wykorzystując przewagę, jaką obecnie posiada, wyciągając z niej potencjalnych sprzymierzeńców i karząc te kraje, które z BRICS chcą sympatyzować czy się do niego przyłączać? A może Zachód przeżyje kolejny kryzys

i nie będzie w stanie zareagować, przyjmując tylko pozycję biernego obserwatora?

Po szóste, to, czy BRICS przetrwa, zależy w największym stopniu od Chin. Czy stanowiąc połowę jej gospodarki, mogąc czy też nie chcąc osiągnąć kompromisu czy konsensusu w ramach BRICS, zdecydują się działać na własną rękę i przystąpią do budowy Pax Sinica? Czy zachowają BRICS jako jedno z narzędzi jego budowy i działać będą dwutorowo – tj. na forum BRICS, lecz także samodzielnie. Czy – co byłoby największym sukcesem BRICS (choć niekoniecznie Chin) – uznają, że same nie dadzą rady, a ich siła wynika z pozycji w BRICS, a zatem wszelkie globalne pomysły powinny być forsowane najpierw na forum tej organizacji, a gdy uzyskają akceptację pozostałych członków, to dopiero wówczas na całym świecie.

Co to oznacza dla Polski

Na świecie dochodzi do polaryzacji, a coraz silniejsze politycznie i gospodarczo wschodzące potęgi kwestionują globalne status quo. A zatem ich interes jest sprzeczny z interesem Polski, która jest w obozie krajów akceptujących ukształtowany w XX w. świat i jego instytucje, z dominującą rolą Zachodu. Polska należy do tego obozu przede wszystkim dlatego, że ostatnie 25 lat ciężkiej i bolesnej transformacji to właśnie integracja z Zachodem, dostosowanie się do jego norm standardów i instytucji.

Gdyby zatem kraje BRICS odniosły sukces, byłaby to dla Polski zła wiadomość z trzech powodów.

Po pierwsze, oznaczałaby konieczność kolejnej wielkiej zmiany w Polsce. Przede wszystkim byłaby to kolosalna zmiana myślenia o świecie, w którym Zachód

utracił swoją dominującą pozycję. Tym samym wszystkie założenia transformacji ostatnich 25 lat, takie jak przekonanie o gwarantującej dobrobyt i bezpieczeństwo zapewniającej „koniec historii” integracji z Zachodem ległyby w gruzach. Ta zmiana myślenia mogłaby za sobą pociągnąć również transformację polityczną i gospodarczą. Na razie jej prekursorem w regionie jest podobnie jak BRICS nieufny wobec zachodnich instytucji finansowych Viktor Orbán, który otwarcie mówi o tym, że buduje nowy typ „nieliberalnej demokracji” (bowiem ta liberalna – zachodnia – jego zdaniem już się wyczerpała) i konsekwentnie, choć z różnym skutkiem, konstruuje relacje z nowymi potęgami i krajami BRICS.

Orbán jest w Polsce traktowany jak postać groteskowa. Niezależnie od tego, czy odniesie sukces i będzie zasługiwał na coś więcej niż drwiące uśmiešky, czy poniesie – oczekiwaną przez większość naszych elit – porażkę, nie zmienia to faktu, że nie mamy planu B i w ogóle nie rozpatrujemy wariantu upadku Zachodu czy sukcesu BRICS. Jesteśmy do tej ewentualnej zmiany nieprzygotowani nie tylko dlatego, że nie bierzemy jej w ogóle pod uwagę, ale także dlatego, iż poza Rosją nie znamy wschodzących potęg i utrzymujemy z nimi sporadyczne kontakty.

W dodatku po 25 latach ciężkiej transformacji zakomunikowanie społeczeństwu, że potrzebny jest kolejny wysiłek, byłoby sporym rozczarowaniem i wielkim wyzwaniem dla polityków. W jaki sposób powiedzieć społeczeństwu brutalną prawdę: świat XXI w. nie jest światem Zachodu i po długiej i bolesnej transformacji czeka nas kolejna reorientacja, bowiem globalne realia są zupełnie inne niż te, które sobie założyliśmy pod koniec XX w. i których przez kolejne ćwierćwiecze

nie próbowaliśmy zredefiniować. A teraz do tych realiów musimy się (ponownie) dostosować? Zatem zmiana ta jeśli nastąpi w świecie, w Polsce będzie odsuwana w czasie tak długo jak się da.

Po drugie, zmiana ładu globalnego, który proponują BRICS, nie jest dla Polski atrakcyjna, bowiem jesteśmy zadowoleni ze status quo, uważamy się za jego beneficjenta i chcemy go bronić. Jedynymi partiami politycznymi, które globalny status quo krytykują, są KNP Korwin-Mikkego i narodowcy.

Po trzecie, we współpracy z BRICS problemem oczywiście byłaby Rosja, która odgrywa w nim istotną rolę, a z którą od kilku stuleci nie udaje się ułożyć dobrych stosunków. Klęskę poniósł także Donald Tusk i jego pojednawcza polityka.

Co robić?

Przy założeniu, że nie da się ułożyć stosunków z Rosją (patrz: porażka polityki Donalda Tuska i brak rezultatów przyjaznej polityki 2009–2013), możemy jednak układać sobie jak najlepsze stosunki z pozostałymi krajami BRICS. Intensyfikować wymianę kulturalną (najprostsze), podejmować wspólne przedsięwzięcia biznesowe, odbywać częste wizyty na najwyższym szczeblu, otwierać, a nie zamykać (jak ostatnio) konsulaty, zwiększać, a nie zmniejszać liczbę personelu dyplomatycznego poza Europą.

Patrzenie w perspektywie dłuższej niż cztery lata nie jest mocną stroną naszych elit. Jednak warto to zmieniać, a przy tym zwracać uwagę i bacznie obserwować rozwój BRICS. Bo niewątpliwie potrzebujemy dłuższej perspektywy i planu B na ciekawe czasy XXI w., które dopiero nadchodzą.

Supermocarstwo wciąż nie ma z kim przegrać

Z Guyem Sormanem
rozmawia Aleksandra Rybińska



GUY SORMAN

Francuski filozof, ekonomista i publicysta

USA mają ogromną przewagę nad krajami BRICS, zarówno militarną, jak i gospodarczą. I to się szybko nie zmieni. XX w. był wiekiem Ameryki i będzie nim także XXI w.

Kraje BRICS podczas szczytu w lipcu w brazylijskiej Fortalizie postanowiły powołać konkurencyjny dla banku światowego instytut finansowy oraz własny fundusz walutowy. Wydaje się, że z klubu dyskusyjnego BRICS powoli zamieniają się w coraz bardziej sformalizowaną grupę państw kwestionujących dotychczasowy ład globalny. Będą w stanie zagrozić pax americana?

Byłbym ostrożny w formułowaniu takich tez. Kraje BRICS to dziś zrzeszenie państw, które niewiele łączy. Pojawiły się w chwili, gdy Stany Zjednoczone wydawały się na równi pochyłej, a Europa była pogrążona w poważnym kryzysie. Cztery kraje członkowskie BRICS, Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, były wówczas rzeczywiście krajami wschodzącymi. To się w międzyczasie jednak zmieniło. Stany Zjednoczone po-

wróciły do roli gospodarczego przywódcy, a Unia Europejska się gospodarczo ustabilizowała. Tymczasem Brazylia pogrążyła się w kryzysie. Rosja jest na skraju recesji, a w Indiach wzrost gospodarczy poważnie zwolnił. Tylko RPA, piąty kraj BRICS, który dołączył do nich nieco później, jest gospodarczo mniej więcej stabilny. W chwili gdy BRICS powstało, wydawało się spójne i obiecujące. Dziś to konstrukcja sztuczna. Kraje wchodzące w jego skład są niespójne, zarówno gospodarczo, jak i finansowo.

Na czym polega ta niespójność? Kraje BRICS twierdzą, że łączy ich intencja reformy międzynarodowego systemu finansowego i monetarnego. Systemu, który ich zdaniem faworyzuje Zachód...

To wszystko brzmi pięknie. Jednak rzeczywistość jest zupełnie inna. Rosja, wsku-

tek działań na Ukrainie, jest obecnie międzynarodowym pariasem, a Indie usiłują się zbliżyć do USA, bez względu na to, co mówiły na szczycie w Fortalezie. Ze strachu zresztą przed Chinami, z którymi mają w ramach BRICS podważać globalny ład. Interesy tych dwóch krajów są zupełnie przeciwstawne i nie wyobrażam sobie, by dało je się ze sobą połączyć. Kraje BRICS nie mają także wystarczającego kapitału, by stworzyć własny bank rozwoju. Mają na to zbyt duże własne zapotrzebowanie finansowania. Pomysł ten wydaje mi się więc co najmniej kuriozalny. Wszystkie kraje BRICS bezustannie poszukują środków na międzynarodowych rynkach finansowych. Przede wszystkim Indie i Brazylia. Rosja jest obecnie, wskutek sankcji, częściowo od nich odcięta.

BRICS powoli wychodzą z mody. Nikt nie mówi już o gospodarkach wschodzących. Tylko schodzących

Kraje BRICS zdecydowały się jednak wyłożyć 100 mld dol. na bank, a kolejne 100 mld ma wynosić kapitał rezerwy funduszu walutowego.

Z naciskiem na „ma”. Kraje BRICS zobowiązały się te pieniądze wyłożyć. Jak na razie ich nie wyłożyły i mam bardzo duże wątpliwości, że się tak stanie. Co zaś dotyczy niesprawiedliwości pax americana, to jest to temat chętnie odkurzany, kiedy nie ma się nic innego do zaoferowania. Nie idzie nam tak dobrze, jak sądziliśmy,

to ponarzekać na amerykańską hegemonię.

Amerykańska dominacja jest bezsporna. To USA stworzyły światowy system finansowy i monetarny, zależny od dolara, a kraje wschodzące odgrywają w nim tylko marginalną rolę...

Owszem. Stany Zjednoczone dominują w Banku Światowym i w mniejszym stopniu w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. To jednak jest tylko instytucjonalnym odzwierciedleniem rzeczywistości. Mamy dominację dolara i amerykańskie przywództwo. Ale że tak jest, nie jest winą Amerykanów. Żaden inny kraj nie był w stanie stworzyć waluty rezerwy podobnie bezpiecznej jak dolar amerykański. Kiedy spojrzysz się na światową mapę patentów, czyli na to, ile patentów zostało złożonych na świecie i przez kogo, to na pierwszym miejscu są USA, na drugim Japonia, UE na trzecim, a potem daleko za tą trójką Korea Południowa. Kraje BRICS w kategorii patentów praktycznie nie istnieją. Tak samo Rosja, jak Indie i Chiny. Nie wspominając o Brazylii. Ta światowa karta patentów daje dobrą wskazówkę na przyszłość. W następnych latach, poza agitacją antyamerykańską, nie widzę szansy na znaczące zmiany. BRICS powoli wychodzą z mody. Nikt nie mówi już o gospodarkach wschodzących. Tylko schodzących.

Chiny są gospodarką schodzącą? Do dlaczego wszyscy, z Amerykanami na czele, niepokoją się rosnącą potęgą Państwa Środka?

Chiny pozostają jednym z najbiedniejszych państw na świecie, patrząc na dochód na głowę mieszkańca. Znajdują się na 70. miejscu światowego rankingu. Mówi się,

że Państwo Środka jest drugą gospodarką świata. Możliwe, że tak jest, jeśli chodzi o objętość, choć nikt tego dokładnie nie wie, bo nie można ufać danym wytwarzanym przez chińską partię komunistyczną. Jeśli jednak rzeczywiście tak jest, to tylko dlatego, że Chiny są bardzo ludnym krajem. Połowa mieszkańców żyje w skrajnej biedzie. W ostatnim czasie gospodarka chińska zresztą znacząco zwolniła. Rosła w olbrzymim tempie przez ostatnie 25 lat, bo ruszyła od zera. Kiedy startuje się od zera, następuje efekt dopędzenia, co powoduje, że poziom wzrostu jest bardzo wysoki. Tak było też w przypadku Japonii i Korei Południowej, kiedy rozpoczęły swoją długą drogę rozwoju. Jak dotąd Chiny nie były jednak w stanie stworzyć bazy przemysłowej i usługowej niezależnej od globalnego rynku. To znaczy, że wzrost Chin zależy od wzrostu gospodarki USA. To amerykański konsument jest motorem chińskiego wzrostu. Dziś ten wzrost wynosi ok. 6 proc. Nie pozwala to chińskim władzom rozwiązać choćby poważnego problemu migracji ludności z wsi do miast. I na tym i innych problemach wewnętrznych koncentruje się obecnie chińskie przywództwo. Władze w Pekinie nie mają dziś ani możliwości, ani chęci konkurowania z USA o światową hegemonię.

Waszyngton musi jednak widzieć w Państwie Środka jakieś zagrożenie, inaczej na co był mu zwrot na Pacyfik? I po co usiłuje otoczyć Chiny ścisłym kordonem sanitarnym militarnych sojuszy?

Gospodarka to jedna rzecz, a geopolityka druga. Gospodarczo Chiny i USA od siebie zależą, z zyskiem dla obu stron. Konsument amerykański korzysta na niskich

cenach produktów, a Chińczycy mają pracę. Ponieważ Chińczycy nie mają co robić z nadmiarem pieniądza, inwestują go w Stanach Zjednoczonych. To klasyczny schemat cyrkulacji dóbr. Oba kraje robią wszystko, co w ich mocy, by tej konstrukcji nie zburzyć. Kolejną odsłoną obustronnych relacji są kwestie militarne i strategiczne. Chińskie przywództwo nie jest jednolite. Niektórzy w partii komunistycznej faworyzują gospodarczy rozwój i święty spokój. Inni reprezentują pozycję bardziej ideologiczną i agresywną. Tych Stany Zjednoczone chcą hamować, tworząc wokół Chin system sojuszy, od Korei Południowej, przez Malezję, po Indie. To postępowanie zachowawcze.

Rosja teraz, gdy stała się pariasem Zachodu, mówi głośno o sojuszu militarnym i gospodarczym z Chinami. Niektórzy amerykańscy publicyści niepokoją się powstaniem nowej „osi zła”. Pekin nie przytuli Moskwy?

Raczej nie. Wrogość między Chinami a Rosją sięga daleko w historię. Kiedy imperium carskie podbiło Azję Centralną i Daleki Wschód, imperium chińskie było bardzo słabe. Chińczycy do dziś nie pogodzili się z wynikającą z tego utratą terytoriów. Oto do dziś toczy się spór. Istnieje też wrogość kulturowa między oboma krajami. Nawet za czasów Mao Zedunga relacje były bardzo złe, ze sporami granicznymi w tle. Kiedy spojrzymy na historię Chin od 1949 r., to gospodarka dominuje nad zachowaniem i myśleniem chińskich przywódców. Ci, którzy lobbują za przygodami militarnymi, są w mniejszości. Obecny chiński prezydent Xi Jinping pozostaje wierny tradycji Deng Xiaopinga, czyli stawia przede wszystkim na rozwój gospodarczy. A z punktu widzenia

gospodarczego Rosja jest Chinom do niczego niepotrzebna. To kraj upadający, który nie stanowi rynku dla chińskich towarów. Chińczycy zresztą nie reagują na rosyjskie zaloty. Moskwa znajdzie się w coraz większej izolacji, a władze w Pekinie mimo sporów terytorialnych na Morzu Południowochińskim wołają od niepewnych sojuszy z awanturniczymi mocarstwami światowy rynek, który jest gwarantem dobrobytu państwa środka. Dlatego czy w BRICS, czy poza, nie powstanie żadna nowa oś Moskwa-Pekin.

Jeśli sytuacja jest taka, jak pan twierdzi, to dlaczego kraje BRICS coraz głośniejszą mówią o podważaniu obecnego światowego ładu?

Należy odróżnić deklarację od rzeczywistości. Oficjalny dyskurs w Chinach kładzie wyraźny nacisk na suwerenność i niezależność. Na opór wobec amerykańskiego imperializmu. Atakuje się więc werbalnie np. Filipiny i przyjmuje z wielką pompą na czerwonym dywanie Władimira Putina. To teatr na poczet Zachodu i własnych obywateli. W rzeczywistości jednak rząd chiński jest bardzo pragmatyczny. Gdzie Chińczycy inwestują swoje pieniądze? Gdzie chiński bank centralny inwestuje swoje pieniądze? W USA. Stany Zjednoczone są dla Chińczyków także wzorem do naśladowania. Modelem sukcesu. Oni chcą być tacy jak Amerykanie. A nie jak Rosjanie czy Brazylijczycy. Chińczycy mają dwa wzory: USA i – kuriozalnie, biorąc pod uwagę historię – Japonię. Krajowi Kwitnącej Wiśni udało się bowiem połączyć modernizację z zachowaniem tradycji. Jeśli chodzi o niepodległe postkolonialne Indie, to skonstruowały się one, z inicjatywy zresztą Mahatmy Ghandiego, przeciwko Zachodowi. Nie chciały, by hin-

duskie społeczeństwo było kopia zachodniego modelu. Ani modelu sowieckiego. Tylko oryginalną kreacją. Ta idea pozostaje bardzo żywa w Indiach. To nieco szizofreniczne przedsięwzięcie, bowiem od lat 90. Indie stały się krajem ultrakapitalistycznym. A od czasów prezydentury George’a Busha są efektywnie sojusznikiem USA. Zdaniem władz w Delhi zagrożenie leży bowiem na północy. Są to Chiny i Rosja. Tu także trzeba więc odróżnić dyskurs od rzeczywistości. Nowy premier Indii Narendra Modi jest bardzo prozachodni i proamerykański. Chce dalej rozwijać potencjał nuklearny kraju, a to nie jest możliwe bez zgody USA. Podobnie jest w Brazylii i w całej Ameryce Łacińskiej, gdzie dyskurs niepodległościowy jest równie silny. Tyle że w realu niewiele z tego wynika. Chcieć to jedno, a móc to drugie. Większość tych krajów łączy z USA jakaś wspólnota interesów, która nie łączy ich niestety między sobą.

Jaka jest więc przyszłość BRICS?

Kiedy BRICS się utworzyły, rzeczywistość pojawiła się nadzieja na to, że uda się im obejść USA i Europę. Że uda się utworzyć coś w rodzaju osi południe–południe. Dziś ta iluzja pękła jak bańka mydlana. Pękła wraz z iluzją rozwoju dobrobytu w tych krajach. Ta iluzja wynikała bowiem głównie z wysokich cen surowców na rynkach. Brazylia rozwijała się w błyskawicznym tempie, bo ceny soi były bardzo wysokie. Podobnie zresztą jak Argentyna. Kiedy ceny spadły, skończyła się prosperity i południowoamerykański cud. Przypadek Rosji jest bardzo podobny. Kiedy spadły ceny gazu i ropy i pojawił się amerykański gaz łupkowy, Kreml znalazł się w opałach. Na dodatek pieniądze zarobione na sprzedaży surowców nie zostały zainwestowane

z powrotem w rosyjską gospodarkę, tylko wypłynęły na zewnątrz. Dzięki temu nie ma dziś przemysłu w Rosji. Nagły rozwój tzw. krajów wschodzących trwał krótko. Dziś już go nie ma i wraz z nim zniknął potencjał budowy przeciwwagi dla USA. Co 10 lat ktoś wychodzi i mówi: za chwilę Brazylia czy Chiny wyjdą przed szereg i zajmą należne im miejsce. Jak na razie

to się nie sprawdziło. USA mają ogromną przewagę nad tymi krajami, zarówno militarną, jak i gospodarczą i to się szybko nie zmieni. XX w. był wiekiem Ameryki i będzie nim także XXI w. A grupa krajów BRICS, jeśli nie uda im się wyjść z zapaści, pozostanie klubem dyskusyjnym – jeśli się nie rozpadnie.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Zachód nie chce uzdrowić rosyjskiego narkomana



WITOLD JURASZ

Były dyplomata, m.in. w Moskwie i na Białorusi,
bloger

Szowinistyczny nacjonalizm, który niczym narkotyk zatruwa rosyjską duszę, leczy się tylko jednym sposobem, znanym skądinąd z terapii antynarkotykowych. Tylko upadek pozwala się podnieść i żyć na nowo

Unia Europejska zdecydowała się na wprowadzenie w stosunku do Rosji sankcji tzw. trzeciego stopnia. Po miesiącach udowadniania Moskwie, iż ta ma rację, posądzając UE to, że ta jest całkowicie niezdolna do zdecydowanego działania, w Brukseli zapanowało poczucie, iż oto właśnie Unia pokazała pazury. Czy tak jest w istocie?

Zbyt słabe ciosy

Z całą pewnością to, że w wyniku sankcji utrudnione będzie zaciąganie kredytów przez rosyjskie banki, odczują wszyscy. Równocześnie jednak sam fakt, iż na Ukrainie toczy się wojna, a relacje Zachodu z Rosją są najgorsze od czasu rozpadu Związku Sowieckiego, powoduje, że ceny surowców energetycznych będą zapewne rosnąć. Pojawiają się co prawda eksperci, którzy wieszczą zupełnie przeciwny skutek, ale w mojej ocenie wychodzenie zachodnich gospodarek z kryzysu połączone z niestabilnością zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i wokół Rosji będzie jednak

skutkować raczej wzrostem cen. Tym samym ewentualne straty wynikające ze zwiększonych kosztów finansowych będą rekompensowane przez zwiększone zyski z eksportu gazu i ropy. Co więcej, sankcje UE nie uderzają w rosyjskie banki z siedzibą w krajach trzecich, co automatycznie (z założenia?) pozwala Moskwie na wdrożenie z pewnością już przygotowanych schematów obchodzenia sankcji.

Nie bez znaczenia jest też to, że Moskwa ma potężne, oceniane nawet na ponad 500 mld USD, rezerwy finansowe. Wielu ekspertów zwraca uwagę na ucieczkę kapitału z Rosji, ale w tym miejscu warto pamiętać o specyficznym rosyjskim fenomenie, którym jest to, że trwająca już przecież od lat ucieczka kapitału z Rosji nie ma de facto żadnego znaczenia dla stanu jej gospodarki. Powyższe wynika z tego, że kapitał ten w istocie nie wypływa, ale jedynie „zmienia obywatelstwo”. Bogaci Rosjanie najpierw wyprowadzają aktywa do rajów podatkowych, by potem je reinwestować, lecz już jako kapitał zagraniczny, w optymalnym scenariuszu podlegający

nawet prawnej ochronie UE. Wydrenowanie rosyjskich rezerw jest skądinąd bardziej realne, gdyby zmusić rosyjski Bank Centralny do interwencyjnych zakupów rubli poprzez grę giełdową przeciw rosyjskiej walucie – to się jednak nie dzieje, a, jak pokazuje historia, Kreml gotów byłby do walki o utrzymanie kursu swej waluty, gdyż nagła jej dewaluacja oznaczałaby, że towary importowane zaczęłyby skokowo drożeć, co uderzyłoby w poczucie bezpieczeństwa socjalnego Rosjan przyzwyczajonych do kupowania towarów spoza Rosji.

Embargo na broń, pomijając już fakt, że pozwala Francji na dostarczenie Rosji desantowców Mistral, również nie odegra poważniejszej roli, gdyż gros eksportu rosyjskiego uzbrojenia skierowane jest poza UE. Niestety, po słynnym sporze, w którym Unia oprotestowywała w latach 90. klauzule w amerykańskich sankcjach (Kennedy – D’Amato czyli „Iran Libya Sanctions Act” oraz Hellms–Burton, czyli „The Cuban Liberty and Democratic Solidarity Act”), które zawierały sankcje transgraniczne, tj. uderzające w państwa trzecie robiące interesy z państwem objętym sankcjami, Bruksela nie mogła (i nie chciała) nagle zmienić frontu i wprowadzić regulacji, które realnie uderzyłyby w rosyjski eksport uzbrojenia.

Niewykorzystane możliwości

Nie zastosowano sankcji takich jak np. zakaz eksportu dóbr luksusowych (takie restrykcje wprowadzono np. wobec reżimu w Damaszku), które uderzyłyby w klasę średnią, która w przeciwieństwie do oligarchów zmuszona byłaby tym samym do obniżenia standardu życia. Powyższe groziłoby Kremlowi destabilizacją społeczną w Moskwie i Petersburgu, czyli

w dwóch kluczowych z punktu widzenia stabilności reżimu miastach. Nie zastosowano również na większą skalę zakazu podróżowania, co w połączeniu z zaostreniem (prawnym bądź faktycznym) reżimu wizowego mogłoby także zagrozić Kremlowi, który opiera swoją władzę na swoistym porozumieniu z klasą średnią, w ramach ta nie interesuje się polityką, ale w zamian uzyskuje prawo do bogacenia się i cieszenia swobodą podróżowania. Polska mogłaby zawiesić porozumienie o Małym Ruchu Granicznym z Obwodem Kaliningradzkim, co oznaczałoby dla mieszkańców OK konieczność rezygnacji z zakupów w wielokrotnie tańszych sklepach w Polsce.

Trwająca już latami ucieczka kapitału z Rosji nie ma de facto żadnego znaczenia dla stanu jej gospodarki. Wynika z faktu, że kapitał ten w istocie nie ucieka, ale jedynie „zmienia obywatelstwo”

Nic nie słyhać o działaniach nękających rosyjską oligarchię, takich jak wnikliwe przeświadczenie jej operacji finansowych, co mogłoby poważnie zagrozić zarówno samym oligarchom, jak i naruszyć interesy urzędników, których środki finansowe częstokroć legalizowane są przez zależnych od nich biznesmenów, de facto pełniących rolę „słupów”.

Zachód nie wydaje się też skłonny do poważnej rewizji planów ewentualno-

ściowych ani do dyslokacji jakichkolwiek poważniejszych sił NATO na terenie nowych państw członkowskich NATO. Mimo zapewnień, że ma się to stać niebawem, nadal nie słyhać, iżby Stany Zjednoczone podjęły ostateczną decyzję o sprzedaży Polsce pocisków samosterujących, co zasadniczo wzmocniłoby zdolności bojowe naszej armii. Innymi słowy, do Moskwy nie trafia również i w tym zakresie żaden sygnał, iż przyjdzie jej realnie ponosić koszty, jeśli zechce kontynuować konfrontacyjną politykę wobec Zachodu. Skądinąd zastanawiające jest i to, że w obliczu rosnącego zagrożenia Polska zwiększa budżet obronny z 1,95 do... 2 proc. (a nie 2,5 czy też 3 proc.).

Nie słyhać nic o rewizji relacji UE np. z Mińskiem czy też o silniejszym niż do tej pory wsparciu Mołdawii. Wydaje się, że wyzwanie rzucone Zachodowi przez Moskwę spotyka się z reakcją słabą, a co gorsza: spóźnioną. W warstwie psychologicznej, tak ważnej również w polityce międzynarodowej, Rosja ma więc nadal przewagę. Zachód jest wobec Moskwy twardy jedynie w sensie werbalnym, co skądinąd jest błędem, gdyż, jak już w 1946 r. pisał ojciec amerykańskiej sowietologii George Kennan w swoim fundamentalnym „Długim szyfrogramie”, władza sowiecka ustępuje w obliczu siły, ale nigdy w sytuacji, gdy uderza to w jej prestiż. Zachód (w tym niestety Polska) wydaje się tymczasem chętniej uderzać w rosyjski prestiż niż gospodarkę. Uderzając zaś w gospodarkę, czyni to tak, jakby chciała uderzyć w Rosję, a nie w reżim Rosją rządzący.

Szowiniści już tam są!

Straty wynikające z sankcji mogą co prawda obniżyć poparcie społeczne dla Wła-

dimira Putina, ale wzięwszy pod uwagę to, że cieszy się on obecnie poparciem 86 proc. Rosjan, ewentualny spadek poparcia będzie zaczynał się od tak niewiarygodnie wysokiego poziomu, iż wątpliwe jest, aby Rosję czekały poważniejsze wstrząsy wewnętrzne wywołane sankcjami. Skądinąd fenomen poparcia dla polityki Putina dowodzi, że Rosja Lermontowa, Czechowa, Dostojewskiego i Tołstoja, którą Kreml od lat mami Zachód oraz, Rosja Wysokiego, Sołżenicyna, Sacharowa i Kowaliowa, w którą z kolei niezmiennie wierzy część polskiej elity i tzw. ekspertów od Rosji, to tak naprawdę byty istniejące tylko na kartach książek. Zabawne skądinąd, że wymyślona przez KGB operacja wmówienia liberalnej zachodniej inteligencji, że oto Związek Sowiecki to nie łagry i łamanie ludzkich sumień, ale nowe wcielenie tajemniczej i nieuchwytniej rosyjskiej duszy, zaczęła żyć własnym życiem i po dokooptowaniu do panteonu kilku bohaterów antysystemowej opozycji stała się nowym mitem – niestety równie nieprawdziwym jak ów pierwotny. Skala poparcia dla Putina, a jeszcze bardziej nawet wzrost owego poparcia w ostatnich miesiącach dowodzą, że co prawda istnieje oczywiście prozachodnia liberalna rosyjska inteligencja, lecz naród rosyjski, takim jak się nam go usiłuje przedstawiać (z jego wewnętrzną „dobrocią”) po prostu nie istnieje, gdyż nie przetrwał (po prawdzie: przetrwać nie miał szans) rewolucji, Głodu, terroru lat 30., II wojny światowej, a następnie półwiecza łamania charakterów i kolejnych 25 lat rabunku i bandytyzmu. Nie wolno oczywiście zapomnieć o tych w Rosji, którzy z przerażeniem patrzą na ewolucję swojej ojczyzny i przez to stają się depozytariuszami tego, co daje nadzieję na przyszłość, a co dziś każe redakcji „Nowoj Gaziety” napisać na okładce po ho-

lendersku „przepraszamy”, ale równocześnie nie wolno nam zamykać oczu na to, że poparcie dla Władimira Putina jest zawsze rekordowo wysokie, gdy Rosja napada na sąsiedni kraj (obecne 86 proc. poparcia poprzedzone było 88 proc. w czasie wojny z Gruzją). Rosję i Rosjan trawi rak nacjonalizmu, choć w zasadzie poprawniej byłoby napisać: szowinizmu, bo w Moskwie i Petersburgu można zostać pobitym również wówczas, gdy jest się obywatelem Rosji, lecz pochodzącym np. z Kaukazu. Dla ponad 80 proc. ludności Rosji napaść na inny kraj to coś nie tylko właściwego, ale i pożądanego. Zachód tymczasem od lat gotów jest wspierać dowolny reżim na Kremlu z obawy przed przejściem władzy przez mitycznych „nacjonalistów”, i nic to, że kolejne ich wcielenia od Żyrinowskiego do Rogozina to twory rosyjskich służb. Obawa przed owymi „nacjonalistami” nie pozwala Zachodowi dojrzeć zupełnie oczywistego faktu: Rosją już od lat rządzą nacjonaści.

W początku lat 90. obawa przed „wybuchem nacjonalizmu” w Rosji spowodowała, że Zachód nie pozwolił Rosji paść na kolana i udzielił jej wsparcia. Nacjonalizm tymczasem, który niczym narkotyk zatruwa rosyjską duszę, leczy się tylko jednym sposobem (znanym skądinąd z terapii antynarkotykowych): otóż tylko upadek pozwala się podnieść i żyć na nowo, bez owych nacjonalistycznych miazmatów, które niczym narkotykowy dym nie pozwalają Rosji zająć się sobą zamiast swoimi sąsiadami. Sankcje, które wprowadzane są przez Zachód, nie mają dostatecznej siły terapeutycznej. W tym sensie już dziś wiemy, że nie spełnią one swojej roli. Agresja wobec Ukrainy, na którą odpowiedzią są sankcje wobec Rosji, nie jest bowiem wynikiem dyktatorskiej polityki Władimira Putina. Prezydent Rosji

w tym akurat aspekcie zachowuje się jak rasowy demokrat i idzie za głosem swego ludu.

Rozważania o tym, czy w rosyjskiej elicie władzy może powstać grupa, która chciałaby odsunięcia od władzy Putina, nie biorą pod uwagę owego fenomenalnie wysokiego poparcia społecznego dla prezydenta Rosji oraz tego, że koterie na Kremlu co prawda bywają ze sobą skonfliktowane, ale spór pomiędzy nimi nigdy nie dotyczy polityki zagranicznej. Wydaje się zatem, że plotki o tym, iż pozycja rosyjskiego prezydenta mogłaby być w wyniku sankcji zagrożona, obliczone są na wywołanie na Zachodzie wrażenia, że zastosowane sankcje są zdecydowane i nie jest celowe ich dalsze wzmacnianie. Kto wie, czy takie pogłoski nie są wręcz celowo rozpuszczane. Teraz co prawda słyszymy o tym, że przeciwnicy Putina mieliby pochodzić ze środowisk bardziej skłonnych do współpracy z Zachodem, jednak wkrótce zapewne usłyszymy, iż alternatywą wobec WWP są „nacjonaści”.

Prof. Andrzej de Lazari, którego o rusofobii trudno posądzać, w dramatycznym tekście opublikowanym 5 sierpnia stwierdza: „Już nie będę bronił Rosjan przed utożsamianiem ich z Sowietami”. Polskiej polityce wschodniej tymczasem nadal ton nadaje hasło Adama Michnika, który określa siebie jako „antysowieckiego rusofila”. Czas sobie powiedzieć bardzo wyraźnie, że owa, z całą pewnością piękna w swym przesłaniu, idea, która kazała nam szukać porozumienia z Moskwą w oparciu o przekonanie o możliwości właśnie rozdzielenia sowieckości i rosyjskości, okazała się mrzonką. Czas pożegnać się zarówno z rusofobią, jak i rusofilią – pierwsza szkodzi nam na Zachodzie, a druga – paradoksalnie – w Rosji, gdyż nie pozwala na czas dostrzec zagrożeń. Polska nie ma

ani potencjału gospodarczego, ani ciężaru politycznego, by dokonać trwałej korekty kursu politycznego Zachodu, który ewidentnie będzie szukał porozumienia z Kreml, ponieważ rosyjskie zagrożenie nawet teraz będzie ustępować w obliczu rozgrywki z Chinami czy też interesów Zachodu w Iranie, Afganistanie albo na Półwyspie Koreańskim tj. wszędzie tam, gdzie Rosja jest naszym sojusznikom potrzebna. Nie sposób jednak nie zauważyć, iż nasza polityka wschodnia i lansowana od kilku lat teza o tym, że możliwe jest pragmatyczne porozumienie z Moskwą, a w samej Rosji partnerem do dialogu jest owe kilka procent na nic niemających wpływu, liberalnych inteligentów, skończyły się klęską. Nie sposób nie dostrzec też, że porzucenie polityki tworzenia regionalnej koalicji państw zagrożonych przez Rosję, która grupując kilka państw, byłaby w stanie skuteczniej niż my sami lobbować w Brukseli na rzecz naszej krytycznej optyki patrzenia na Moskwę, okazała się błędem.

Skąd nadzieja

Pozostaje liczyć na to, że prezydentowi Obamie uda się porozumieć z Iranem i zarazem nie zepsuć już i tak nadszarpniętych relacji z Arabią Saudyjską. Jeśli te dwa państwa zwiększyłyby wydobycie ropy naftowej, a Waszyngton dalej rozwijał technologię wydobycia gazu łupkowego, a co więcej, dopuściłby jego eksport na rynki europejskie, istniałaby szansa na obniżenie cen surowców energetycznych. Dopiero to realnie uderzyłoby w Rosję. Tylko czy mamy aż tyle czasu? Jeśli nie, to pozostaje liczyć, że Ukraina w paradoksalny sposób dzięki Putinowi wzmocni swoją państwowość i nie da się Rosji złamać. Skądinąd sam fakt, że to możliwe, pokazuje, iż co prawda mamy powtórkę z zimnej wojny, ale tym razem na szachownicy zamiast silnego Związku Sowieckiego i potężnego Zachodu widzimy słabą Rosję i słaby Zachód. Jakie czasy, taka zimna wojna, chciałoby się powiedzieć.

Australia zdecyduje o losach globu?

Z Jackiem Bartosiakiem
rozmawia Krzysztof Wołodźko



JACEK BARTOSIAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Zaniepokojeni Rosją nie zauważamy, że prawdziwe wyzwania wiążą się z rosnącą rolą Chin. Ale bardzo dobrze widzą to Amerykanie. Ewentualny konflikt militarny USA z Państwem Środka rozegra się na zachodnim Pacyfiku.

Odległe i rozległe obszary Pacyfiku nie spędzają Polakom snu z oczu. Stąd pana raport „Znaczenie strategiczne Australii w wojnie z Chinami” przygotowany dla Narodowego Centrum Studiów Strategicznych trzeba traktować jako ciekawostkę...

Zdecydowanie się z tym nie zgadzam. Obecna konfiguracja geopolitycznych sił pokazuje, że Australia ma istotne znaczenie dla globalnego bezpieczeństwa i nowego porządku w skali świata.

Zajęci kryzysem ukraińskim i – z naszej perspektywy słusznie – zaniepokojeni Rosją nie zauważamy, że prawdziwe wyzwania wiążą się z rosnącą rolą Chin. Ale bardzo dobrze widzą to Amerykanie. Ewentualny konflikt militarny USA z Państwem Środka będzie dotyczył przestrzeni powietrzno-morskiej na rozległych wodach zachodniego Pacyfiku. Jeśli konflikt rozpocznie się później niż wcześniej, gdy

Chińczycy zdołają zbudować pełnooceaniczną marynarkę wojenną, to będą zabezpieczali także Ocean Indyjski. A w XXI w. ten akwen będzie pełnił funkcję huba transportowego dla surowców i przemysłu z całego świata. Dodam do tego, że przez położoną w pobliżu Singapuru cieśninę Malakka łączącą Morze Andamańskie z Morzem Południowochińskim przechodzi dziennie większość produktów świata: dobra wytworzone i surowce.

I tak geografia Australii skazuje to państwo-wyspę kontynentalną na udział w konflikcie amerykańsko-chińskim. W bardzo wartościowy sposób opisuje te zagadnienia prof. Hugh White z Ośrodka Studiów Strategicznych Australian National University.

Pozwolę sobie na sarkazm: czyli to jednak Australijczycy, a nie Polacy, są najbliższym sojusznikiem USA?

Powiedzmy sobie jasno – od 2011 r. Amerykanie wprost podejmują próby powstrzymania wszelkimi sposobami chińskiego wzrostu. Stąd choćby pomysł na budowę transpacyficznej strefy gospodarczej, z pominięciem Chin. Stąd także od dwóch lat wykoślenie współpracy japońsko-chińskiej. I wreszcie stąd wdrażana w siłach zbrojnych USA koncepcja wojny powietrzno-morskiej, która jest największą zmianą doktrynalną co najmniej od lat 80. XX w., a może od czasów II wojny światowej.

Przypomnę, że Amerykanie są po dwóch wojnach lądowych na Bliskim Wschodzie, czyli w Afganistanie i Iraku, które polegały na walce z partyzantami. USA przez dekady w istotny sposób zaniedbały swoje marynarkę i lotnictwo, w przeciwieństwie do Chin. Ale już widzą problem. Wiedzą, że grozi im militarne, a co za tym idzie polityczne i handlowe wypchnięcie z regionu Zachodniego Pacyfiku. Stąd także chęć wciągnięcia Australii do gry po swojej stronie. Bo Amerykanie nie są w stanie pokonać Chińczyków na morzu bez sieci baz australijskich na północy tego kontynentu.

Takie partnerstwo wydaje się także cywilizacyjnie czy wręcz aksjologicznie nieuniknione.

Niech pan pamięta o pragmatyce geopolityki i naprawdę wielkich pieniądzach. Zaraz obok Korei Południowej Australia jest największym beneficjentem chińskiego wzrostu gospodarczego. Ponadto stamtąd Chińczycy sprowadzają surowce: ziemie zachodniej Australii mają rudy żelaza, węgla. To Chińska Republika Ludowa przynajmniej od połowy lat 80. XX w. odpowiada za spektakularny wzrost gospodarczy i utrzymywanie australijskiego

modelu społecznego. Obroty gospodarcze australijsko-chińskie są naprawdę olbrzymie!

Warto pamiętać, że Australia miała zawsze problemy z własnym wyżywieniem, w dodatku była uzależniona od rządzącej w regionie potęgi morskiej. Stąd sojusz z Wielką Brytanią, a po upadku bazy wojskowej w Singapurze w czasie II wojny światowej – ze Stanami Zjednoczonymi. Nie wynikało to jedynie z kwestii kulturowych.

Żaden sojusz aksjologiczny nie przetrwa dłużej niż do momentu pierwszej próby

Kilka lat temu Amerykanie zaczęli naciskać na australijski rząd w związku z narastaniem ich własnego sporu z Chinami. To spowodowało w Canberry, stolicy Australii, znaczne dylematy. Długo debatowano i wbrew opiniom analityków wojskowych, którzy twierdzą, że to jednak USA przegra militarne na zachodnim Pacyfiku, zdecydowano się na wzmocnienie relacji australijsko-amerykańskich. Tak, moim zdaniem to sojusz przede wszystkim aksjologiczny.

Pan wątpi w jego trwałość?

Nie jestem fascynatem wizji supremacji Chin. Ale żaden sojusz aksjologiczny nie przetrwa dłużej niż do momentu pierwszej próby. Stąd otwarta jest kwestia, czy obecny sojusz australijsko-amerykański wytrzyma w sytuacji tak znacznego uzależnienia kontynentalnej wyspy od gospodarki Chin. Poza tym mandaryński jest

dziś w Australii drugim mówionym językiem, a większość australijskich lekarzy to Chińczycy.

Powtórzę bardzo ważną rzecz: to nie Amerykanie kupują australijskie rudy żelaza. W 2013 r. Chińczycy odpowiadali aż za 35 proc. australijskiego eksportu. To dwa razy więcej niż pięć lat wcześniej! Nigdy w swojej historii Australia nie zależała tak bardzo czy to od USA, czy to od Wielkiej Brytanii. Jeśli chce utrzymać obecny model społeczno-gospodarczy, który czyni życie tam tak beztrudnym, to gwarantuje to właśnie chiński rynek zbytu.

Czy USA mają narzędzia, by zatrzymać chińskie dążenie do supremacji?

Robią, co mogą, żeby spowolnić chiński wzrost gospodarczy. Obalają traktaty międzynarodowe, choćby japońsko-chiński, który zakładał wzajemne rozliczanie się z pominięciem dolara, juan za jen. Stany Zjednoczone spowodowały, że Japończycy się z tego wycofali. Gdy Chińczycy starali się narzucić azjatyckim państwom rozliczanie z pominięciem dolara, co było dla nich korzystne, Amerykanie także do tego nie dopuścili.

Jednak chińska gospodarka jest bardzo rozpedzona. A przy tym, paradoksalnie, amerykańscy analitycy wojskowi twierdzą, że Chińczycy wydają na zbrojenia nie więcej niż jeden proc. PKB, najmniej w historii ChRL. A i tak idą mocno do przodu w zbrojeniach. I to pod kątem najnowszych technologii. Choćby chińskie wojska raketowe są lepsze i bardziej liczne od amerykańskich. Chińska marynarka wojenna woduje rocznie kilkakrotnie więcej okrętów niż amerykańska.

Pacyfik to potencjalny teatr najważniejszej wojny przyszłości, także dlatego że chińska potęga gospodarcza opiera się

na handlu morskim. A trzeba dodać, że sami Chińczycy ostatnich dwieście lat swoich dziejów, gdy podpadli pod dominację Zachodu i znacznie osłabli geopolitycznie, uważają za dziejową anomalię.

Tylko co my w Polsce z tym wszystkim mamy wspólnego?

Proszę pana, bardzo dużo! Amerykanie nie są już w stanie być wszędzie. Tym bardziej że to Pacyfik stanowi dziś dla nich największe wyzwanie. I stąd też wojna ukraińska: Rosjanie dobrze wiedzą, że mogą sobie pozwolić na więcej. Poza tym władze w Moskwie, przynajmniej w tym momencie, wyraźnie stawiają na dobre relacje z Chinami.

Do tego USA mają mniej okrętów wojennych niż w 1917 r., gdy przystępowały do I wojny światowej. Średni wiek amerykańskiego samolotu bojowego to dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. A Chińczycy poszli do przodu.

Amerykanie muszą przeskoczyć na nowe klasy okrętów wojennych, zmienić flotę powietrzną i wybudować drony. Także dlatego, że ich siły zbrojne na zachodnim Pacyfiku były dotąd nakierowane na europejski i perski teatr wojenny. A ze względu na obszary do pokonania na Oceanie Spokojnym to wszystko jest dalece niewystarczające – choćby pod kątem zasięgu.

Modernizacja armii będzie bardzo kosztowna. Stąd choćby znaczna redukcja wojsk lądowych. W Europie Amerykanie mają obecnie dwa bataliony piechoty w Niemczech i jeden batalion powietrznodesantowy we Włoszech. A i samolotów jest niedużo. Banalna prawda jest taka, że w razie poważniejszego konfliktu, choćby na wschodnich rubieżach Europy, Amerykanie fizycznie nie mieliby czym dys-

ponować. Dodajmy do tego kryzys finansowy i fiskalny w USA: w takich realiach Amerykanie muszą przebazować się na Pacyfiku, tam się zbroić.

Nasi politycy żyją złudzeniami, jeśli wierzą, że Amerykanie przyślą tutaj cztery czy pięć brygad ciężkich. Odbyłoby się to dla nich zbyt wielkim wysiłkiem, kosztem ich interesów w regionie zachodniego Pacyfiku, w którym realnie zdecyduje się przyszłość świata, przyszłość największych globalnych potęg.

Jacek Bartosiak – stały współpracownik „Nowej Konfederacji”. Analityk oraz członek Rady Fundacji Narodowe Centrum Studiów Strategicznych, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Jest członkiem Rady Budowy Okrętów. W NCSS zajmuje się analityką związaną z bezpieczeństwem narodowym oraz sprawami międzynarodowymi; na powyższe tematy publikuje, występuje też w mediach.



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Staly współpracownik „Nowej Konfederacji”

Sens i bezsens '44



STEFAN SĘKOWSKI

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
dziennikarz „Gościa Niedzielnego”

Refleksja nad powstaniem warszawskim może pokazać nam, jacy jesteśmy i jacy powinniśmy być. Wdając się na jego temat w kłótnię zamiast w dyskusję, tracimy okazję, by się tego dowiedzieć.

Na łamach „Do Rzeczy” Sławomir Cenckiewicz przy okazji krytyki decyzji o rozpoczęciu powstania przypisuje dyrektorowi Muzeum Powstania Warszawskiego Janowi Ołdakowskiemu karierowiczostwo. Idący na odsiecz Ołdakowskiemu Piotr Gursztyn na stronie internetowej tego tygodnika zarzuca krytykom zrywu, że „ich racja życia polega na odnalezieniu ważnego elementu narodowej przeszłości oraz tożsamości i następnie na dekonstrukcji” – bez konstruktywnego zaproponowania historycznego symbolu, którym można by ten zdekonstruowany zastąpić. Odpowiadający mu Piotr Zychowicz ustawia się w pozycji ofiary złych romantyków, którzy nie potrafią dyskutować – choć sam jest autorem książki o powstaniu, której już sam tytuł („Obłęd '44”) nie nastroja do wyważonej refleksji. Portal wPolityce.pl przedrukowuje z kolei napisany lata temu felieton Macieja Rybińskiego, któremu nadaje tytuł: „Krytycy powstania motywowani jak hitlerowcy”.

To tylko kilka przykładów tekstów opublikowanych z okazji 70. rocznicy wy-

buchu powstania warszawskiego. Przeczytałem ich chyba z kilkadziesiąt i większość z nich była napisana w taki właśnie sposób. Wygląda na to, że w pogoni za jednoznacznością publicyści utracili umiejętność wyważonego namysłu nad historią. Głoszą swoje jedynie słuszne poglądy, nie słuchają drugiej strony, ograniczając wymianę zdań do zarzucania przeciwnikowi braku patriotyzmu lub bujania w obłokach.

Według obrońców decyzji o rozpoczęciu zrywu dzięki niemu Polacy mogli w okresie PRL odwoływać się do mitu stolicy walczącej o niezależność zarówno od Niemców, jak i od Sowietów, a dziś młodzi żołnierze AK mogą być wzorem poświęcenia na rzecz ojczyzny. Z kolei przeciwnicy widzą w powstaniu narodową katastrofę (ministrowi Sikorskiemu obrywa się od entuzjastów PW za samo użycie tego określenia!), rzucenie się z motyką na słońce, wręcz zbrodnię na mieście i ludności cywilnej w wykonaniu dowódców AK. Za ofiary można się pomodlić, walczącym oddać honory, ale nie wynosić

pod niebiosa samego powstania, które było bez sensu.

Jedni i drudzy poruszają się na dwóch różnych płaszczyznach. Jedna z nich to ocena sensu zrywu pod względem militarnym i politycznym; druga to ocena skutków dla naszej świadomości narodowej. Gdy obie płaszczyzny rozpatrujemy oddzielnie, możemy dojść do wniosku, że powstanie miało sens i nie miało go zarazem. By ocenić słusność decyzji o rozpoczęciu zrywu, historycy muszą się niejako przenieść w przeszłość i rozważyć, czy z wiedzy, jaką posiadali przywódcy, wynikało, że cele zrywu – zarówno militarne (wyswobodzenie stolicy), jak i polityczne (zabezpieczenie Polski przed przyszłą okupacją sowiecką) – są możliwe do zrealizowania, a także jakie koszty można ponieść. Istotne jest również rozważanie wyobrażeń dowódców na temat „kosztu alternatywnego”, który przyjdzie zapłacić w wyniku zaniechania.

Nie ma to jednak nic wspólnego z opisem korzyści dla świadomości Polaków, jakie przynosi nawet przegrana walka. Powstanie warszawskie nie wryłoby się w naszą świadomość w takim stopniu, gdyby Niemcy nie zburzyli 90 proc. miasta i nie wymordowali 200 tys. osób. To dzięki tej ofierze mamy świadomość konsekwencji braku odpowiedniego przygotowania powstańców do walki oraz braku pomocy ze strony Armii Czerwonej, a waleczność powstańców, którzy broń palną sami musieli sobie wywalczyć, stanowi dziś dla młodych ludzi chyba główny wzorzec bohaterstwa. Jednak nikt rozsądny nie twierdzi, że osiągnięcie takiego stanu umysłu u przyszłych pokoleń powinno być celem tego przedsięwzięcia stawianym przed żołnierzami przez inicjatorów zrywu.

Sam jestem zwolennikiem tezy o sensie i bezsensie powstania. Uważam, że

nie mogło ono zakończyć się zwycięsko – choć chętnie dam się przekonać, że było inaczej. Jednocześnie jestem świadom tego, jak zryw ten przeorał świadomość Polaków, co nie pozostało bez skutków podczas nocy komunizmu. Niektórzy twierdzą, że musiało ono po prostu wybuchnąć – tacy jesteśmy, przywiązani do wolności, o którą chcemy walczyć nawet wtedy, gdy szanse na jej odzyskanie są nikłe. Jednak zabawnie wygląda stateczny konserwatysta mówiący językiem nastolatka, że jest dumny z tego, jaki jest, i że nie zamierza się zmieniać.

**W pogoni za
jednoznacznością publiczności
utracili umiejętność
wyważonego namysłu nad
historią. Głoszą swoje
jedynie słuszne poglądy, nie
słuchają drugiej strony,
ograniczając wymianę zdań
do zarzucania
przeciwnikowi braku
patriotyzmu lub bujania
w obłokach**

Tak jak każdy człowiek z osobna powinien rozwijać swoją inteligencję i charakter, tak też jako wspólnota powinniśmy rozwijać swój charakter narodowy – i do tego potrzebna jest refleksja nad tym, czy powstanie miało szanse powodzenia. By, jeśli nie miało, w przyszłości wykorzystywać ofiarność żołnierzy do osiągnięcia tylko

realnych celów. Refleksja nad powstaniem warszawskim może pokazać nam, jacy jesteśmy i jacy powinniśmy być. Wdając

się na jego temat w kłótnię zamiast w dyskusję, tracimy okazję, by się tego dowiedzieć.

Prawie dwa miliony Polaków za kolonizacją



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Kowalski, który został w OFE, chyba wciąż wierzy, że przydarzy mu się syta starość dzięki prywatnemu ubezpieczycielowi, podczas gdy „w ZUS” czekałby go tylko „głodowy socjalizm”. Takie myślenie to współczesny zabobon.

W poniedziałek (4 sierpnia) rzecznik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Jacek Dziekan poinformował, że na odkładanie części składki emerytalnej w Otwartych Funduszach Emerytalnych zdecydowało się 1 mln 690 tys. 153 osób. To o blisko dwa miliony za dużo. Smutna prawda jest taka, że wielu całkiem świadomie wybrało neokolonializm, także po to, by zrobić „na złość” ZUS.

Kapitałowy system emerytalny wprowadzono w Polsce pod naciskiem międzynarodowych instytucji finansowych. I to one są jego głównym beneficjentem. Był to jeden z istotniejszych elementów transformacji i otwarcia się byłych krajów bloku wschodniego na zachodni kapitał. W byłych demoludach krajami, które pierwsze przyjęły kapitałowy system emerytalny, były Polska i Węgry.

Z kolei w Ameryce Południowej tego rodzaju eksperyment zakończył się w Chile prawdziwym krachem: w efekcie dwie trzecie ubezpieczonych w tamtejszym prywatnym systemie emerytalnym pozbawionych zostało jakichkolwiek emerytur.

Znamienne, że żadne z państw i społeczeństw Europy Zachodniej, znacznie bogatszych od byłych krajów „demokracji ludowej”, nie zdecydowało się na ten model. Ale elity polityczne i społeczeństwa dawnych satelickich państw Rosji Sowieckiej były o wiele słabsze wobec nacisków wielkich instytucji finansowych. Niebagatelną rolę pełnił tutaj Międzynarodowy Fundusz Walutowy i jego wskazania dla byłych demoludów.

Węgry pierwsze zorientowały się, że i dla społeczeństwa, i dla budżetu państwa kapitałowy system emerytalny to bardzo nieopłacalne i niebezpieczne narzędzie, i już w 2010 r. odeszły od przymusowego, prywatnego filara kapitałowego. Także u nas już pod koniec lat 90. XX w. powstawały analizy jasno wskazujące, że OFE wbrew własnemu marketingowi wcale nie gwarantują „emerytur pod palmami”. Wskazywano również, że transfer i dofinansowanie pieniędzmi z ZUS prywatnych ubezpieczycieli zdecydowanie negatywnie wpłynie na wysokość naszego długu publicznego i powiększy problemy

budżetowe. A to z kolei musi się wiązać choćby z kwestią podnoszenia danin publicznych. Ale do opinii publicznej bardzo rzadko przenikały takie informacje. Było na nie nałożone swoiste embargo, gdy równocześnie OFE kupowały sobie czas antenowy i reklamę w mainstreamowych mediach.

**Gdy obserwuję polskich
prawicowców rozkochanych
w Węgrach Orbána
i równocześnie z cielećcem
zachwytem
wypowiadających się o OFE
albo zupełnie sztampowo
krytykujących ZUS, śmiech
mnie ogarnia**

Przez lata znaczna część osób z takim entuzjazmem traktujących „lepsze, bo prywatne” OFE w ogóle nie interesowała się powyższymi kwestiami. Stereotypowa narracja dotycząca „złego ZUS” jest dość powszechna i rzadko kto zdobywa się na refleksję, że o wiele bardziej szkodliwy niż klasyczny system emerytalny jest właśnie system kapitałowy. I że właśnie do tego „dobrodziejstwa” musimy dopłacać z własnej kieszeni. Tyle że znów, zgodnie z „wolnorynkową dialektyką” wielu zrzuca winę na „złe państwo”. Największą winą polskiego państwa jest jednak to, że zdecydowało się w 1999 r. na taką a nie inną reformę systemu emerytalnego. Niestety, odpowiedzialne za to elity polityczne nie

ponoszą żadnych konsekwencji swoich szkodliwych decyzji.

Wśród niemal dwóch milionów osób, które podzieliły swoją składkę między ZUS a OFE, wciąż wiele jest takich, które nie rozumieją, że prywatyzacja emerytur to jeszcze jeden element nowej kolonizacji naszego rynku, tylko że w innej branży niż handel czy produkcja. I że właśnie mieli szansę nieco się od niego uniezależnić. Ale mało i średnio zarabiający Kowalski, który został w OFE, chyba wciąż wierzy, że przydarzy mu się syta starość dzięki prywatnemu ubezpieczycielowi, podczas gdy „w ZUS” czekałby go tylko „głodowy socjalizm”. Trudno przekonać ludzi, że takie myślenie to współczesny zabobon.

Sądzę, że gdy za dwa lata otworzy się kolejne czteromiesięczne okienko wyboru: OFE czy ZUS, instytucje finansowe będą na to świetnie przygotowane. I znów będą gotowe, jak w 1999 r., wydać znaczne sumy na przekonanie kolejnych milionów Polaków do swojej oferty. Z drugiej zaś strony nasze instytucje publiczne, na czele z zadowolonymi z własnego poziomu życia politykami, nie zrobią nic, by rzetelnie informować o strukturalnych problemach związanych z prywatyzacją systemu emerytur, których koszta obciążają całe społeczeństwo, nawet gdy stosunkowo nieliczni mają z tego korzyść.

Na koniec: gdy obserwuję polskich prawicowców rozkochanych w Węgrach Orbána i równocześnie z cielećcem zachwytem wypowiadających się o OFE albo zupełnie sztampowo krytykujących ZUS, śmiech mnie ogarnia. Tu nie będzie żadnej podmiotowości, dopóki Polacy nie zechcą przestać dać się nabierać na neokolonialną propagandę.

Wesprzyj nas

„Nowa Konfederacja” znalazła się w **bardzo trudnej sytuacji finansowej**, tracąc 60 proc. przychodów (8 tys. zł miesięcznie) po tym, jak nasz największy Darczyńca stracił możliwość wspierania nas. Jeśli do sierpnia b.r. nie uda nam się zbilansować budżetu – będziemy musieli **ograniczyć lub zawiesić działalność**.

Jeśli nas cenisz, **nie pozwól na to – wesprzyj nas!**

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

Podstawą naszej działalności są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

W czerwcu nasze stałe przychody wyniosły 8 725 zł. Aby przetrwać w dotychczasowej postaci, potrzebujemy 13 300 zł miesięcznie.

Dodatkowo, otrzymaliśmy od Państwa w lipcu 1 177 zł jednorazowych darowizn. Są one również bardzo ważne, ale nie dają niestety poczucia stabilności ani możliwości długofalowego planowania działań.

Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z pięciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu.** Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski

2. **dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele:** poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji

3. począwszy od października 2013, **udaje nam się co tydzień publikować nowy numer „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie,** jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży

4. **mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas średnio 4,5 tys. osób tygodniowo, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze teksty są chętnie przedrukowywane przez popularne portale

5. **darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Trzydziestu Ośmiu Anonimowych Stałych Darczyńców, Andrzej Dobrowolski, Paweł Gatus, Bartłomiej Kachniarz, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny, Zbigniew Zadora

Pozostali Darczyńcy:

Osiemdziesięciu Sześciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

Redaktor prowadzący: Bartłomiej Radziejewski

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa: Michał Kuź

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Fundacja Nowa Rzeczpospolita
Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa